



## **Szklanka na pająki (fragmenty)**

Barbara Piórkowska

**Published:** 2010

**Categorie(s):**

**Tag(s):** Gdańsk powieść proza "nowy świat" 33strony

# Chapter 1

## Dzie? dobry

Najpierw byłam mężczyzną. Nazywałam się Wołodimir Switłyczko i miałam ogromne stopy. I takie same ręce, którymi łatwiej niż innym cięło się zimne bale drewna. Umarłam w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim, ale niewiele z tego pamiętam, choć znam takich, co potrafią opowiedzieć wiele o każdej swojej śmierci.

Potem wybrałam sobie miasto, którego zupełnie nie znałam. Z wiekiem rosła we mnie pewność, że nigdy wcześniej w nim nie byłam. Aż wreszcie nabrałam co do tego takiego przekonania, że zaczęłam malować domy, parki i miejskie ptaki. Żeby później, kiedy znowu umrę i znowu się urodzę, móc sobie łatwiej przypomnieć wszystko to, co ważne.

W naszej rodzinie wszyscy się odradzali i nie ma w tym nic niezwykłego. Co trzecie pokolenie przychodziliśmy na świat dokładnie w tym samym zestawie, tylko pozamieniani miejscami: dziadek stawał się prawnukiem, a prawnuk – kolejnym pradziadkiem. Czasem do układu dołączał ktoś z zewnątrz, przyjaciel albo wróg. Dzięki nim rodzina mogła pączkować także w różnych mniej typowych kombinacjach. To samo dotyczyło też miejsca pobytu. Kiedy dom w górach się opatrzył, zamienialiśmy go na nadmorski kurort. I tak, w wielu przestrzeniach i odmiennych czasach, toczyliśmy te same rozgrywki i zawieraliśmy podobne mariaże. Myślę, że jeśli się o tym wie, kalendarz traci swoje twarde znaczenie.

Na ziemi przeważnie nikt nic nie pamiętał. Zdarzały się jednak wyjątki. Moja babka na przykład doskonale wyczuła, w czym rzecz, w trzecim roku życia i osiągnęła mistrzostwo w zapamiętywaniu. W tamtych czasach nie dawało się o tym mówić głośno, całe życie więc milczała i cicho przekwitła. Zresztą często zdarzało się tak, że starsi nie umieli przekazać swojej wiedzy. I młodzi, w mozole i trudzie, zdobywali doświadczenie z

delikatnym tylko przeczuciem, że za ich niepokojem kryje się coś jeszcze.

Tak było i ze mną. Moja świadoma babka zmarła zbyt wcześnie, by mi cokolwiek opowiedzieć, a list, który napisała, zanim wypadła z okna, zaginął gdzieś podczas przeprowadzek.

Teraz już wiem, że człowiek rodzi się kobietą, jeśli w poprzednim życiu nie zachowywał się godnie jako mężczyzna. Nabrzmiwanie piersi i comiesięczny szturm krwi zdarzają się tym, którzy wzgardzili kiedyś kobietami. Jako Wołodimir Switłyyczko zlekceważyłam intuicję, wpływ księżycy i głosy z wnętrza ziemi. Nie przyszły też jeszcze czasy, w których męskie i żeńskie dopełnia się i przenika zamiast ścierać. I dlatego wróciłam, żeby naprawić nieprzebrane szkody.

Jestem tym, kim chciałam być. Jestem jedynym dzieckiem mej obecnej matki.

Na dzień przed porodem poczuła chęć na kiełbasę. Ojciec załatwił mięso. Przyniesione do szpitala przy ulicy Klinicznej pęta rozrzewniły rodzicielkę i zanim spożyła je chciwie, wylała na łóżko – i ojca – kilka litrów łez. Od tamtej pory nie lubię ani kiełbasy, ani słonej wody. Przyjaciół z Południa dziwi zwłaszcza to drugie, bo przecież nadal mieszkam nad samym morzem.

Matka zlekceważyła wszystkie znaki, jakie w dniu moich urodzin dostała od nieba. Nie zauważyła sroki w szpitalnym oknie i herbaty rozlanej w kształt serca. Ani tego, że jej ulubiona książka spadła sama z nocnego stolika i otworzyła się na rozdziale pierwszym. Październikowe niebo roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego rozświetliło się słońcem – to jednak także uszło powszechnej uwadze. Pielęgniarki i lekarze skupieni nad ciałem rodzącej ratowali moje, świeże jeszcze, życie.

Wydostałam się z brzucha cała sina. Pepowina oplotła mnie tak szczelnie, że potem przez trzydzieści lat znajdowałam jej kawałki w różnych własnych myślach. Piękna siostra z pieprzykiem na lewym policzku zaniósła mnie do inkubatora, gdzie pierwsze dni spędziłam w oderwaniu od tego świata. Nie dane mi było poznać ani miłosnego głosu, ani dotyku. W szklanej kuli przeżyłam sześć dni w całkowitej izolacji od wszystkiego, co zazwyczaj dziecko poznaje zaraz po urodzeniu. Nie miałam nawet imienia. Obok siedział tylko miniaturowy anioł stróż. Tak mały, jak muszka owocówka, tylko zupełnie przezroczysty. Później babka powiedziała mi, że nie ma co się dziwić, anioły też się rodzą małe, a potem rosną wraz z nami.

Tak naprawdę miałam dwie pepowiny.

Pierwsza to ta darowana od matki. Przez całe dzieciństwo i wiek nastoletni ciężko mi było oddychać. Powietrze wchłaniałam trudniej niż inne dzieci, alergia i astma dusiły mnie wspomnieniem z porodu.

Druga – tak cienka i delikatna, że zupełnie niewidoczna, łączyła mnie z lodowcem na Północy. Ale ponieważ jej nie widziałam, nie pytałam się nigdy o to, jaki wpływ na życie może mieć śnieg, zima i minusowe temperatury w mojej dzielnicy.

Anioł nazywał się Julek. Wszystko, co udało mi się poznać przez ten niepełny pierwszy tydzień, to właśnie dźwięk jego imienia. W inkubatorze było ciepło, ale bardzo niewygodnie. Siódmego dnia zaczęłam krzyczeć i wtedy matka zrozumiała, że będę dzieckiem towarzyskim i wbrew zaleceniom lekarzy wzięła mnie na ręce. Całe powietrze Gdańska przyszło w tamtej chwili do mnie i w dwadzieścia minut nabrałam kolorów zdrowej, dużej dziewczynki. Dziewiętnastego października wieczorem, z rodzicami i Julkiem, opuściliśmy szpital.

Taksówka wiozła nas długą jak gąsienica ulicą, aż do nowych bloków z płyty. Na czwartym piętrze mieszkali babka i dziadek. Rok wcześniej z radością porzucili pokoje w kamienicy, w których codziennie trzeba było palić w piecu. Gdy otworzyli drzwi, uśmiechnęłam się do nich. Chwilę później przekroczyła próg mama,

a za nią obładowany pieluchami ojciec. Odwróciłam głowę i uśmiechnęłam się także do rodziców. Do dziś się uśmiecham, gdy zobaczę u kogoś dywan w kolorze pomarańczy, taki jak w tamtym przedpokoju.

Moi rodzice nie zrozumieli jednak, że to dość ważny moment w naszym życiu. Ważny, bo przecież w tamtej sekundzie jasne się stało, że znam tę rodzinę i że po latach przerwy wróciłam do niezłałatwionych spraw.

Moja babka pewnie już kątem oka podejrzała, że historia potoczy się zgodnie ze swymi odwiecznymi regułami. Ale w tamtej chwili nie mogła opanować emocji. Tak zachwyciła się uśmiechem wnuczki, że wchodząc do kuchni, stłukła ulubiony kubek. Herbata z granulek wylała się na podłogę. Babka upadła, rozcięła sobie głowę i nabiła guza. Dziadek wezwał pogotowie. I oto w zamieszaniu znów nie poświęcono mi dostatecznej uwagi, co później stało się regułą i przyczyną wszystkich kłopotów w moim wychowywaniu. Julek też już to wiedział.

Kubek, który skończył żywot tamtego ciekawego dnia, babka dostała od matki. Był brązowy, bo babka lubiła kolory ziemi. Przywieziony z egzotycznej podróży do Krynicy Zdroju stał się jednym z niewielu oczywistych wyrazów miłości młodszej kobiety do starszej. Albowiem moja matka wyrażała uczucia na męski sposób, tylko poprzez symbol.

Ceramiczne naczynie wręczone po powrocie z czasów miało oznaczać oddanie, pamięć i nierozzerwalną więź między członkami rodziny. A także miłość. Babka żałowała, że nie miała czasu nauczyć córki mówienia. Słowa przecież mogą wyrażać to samo. Ale milczała z własnych powodów; gdy dorastała podczas wojny i w trudnych latach po jej zakończeniu, widziała, że to co ktoś powiedział, często nie zgadza się z tym, co naprawdę czuje. Przyjęła nieufność ogólnie do wszystkiego. Bez słów wpoila ją dziecku. A dziecko chciało ją wpoić następnemu dziecku. I gdybym nie przerwała tego łańcuszka swoim urodzeniem, nie wiem, dokąd moja rodzina by doszła.

Rozbicie kubka oznaczało, że trzeba wszystko zmienić, bo posklejana ceramika nie ma sensu.

Już dzień po tym, jak przybyłam do domu dziadków, zaczęła się pierwsza kłótnia.

– Chcę, by dziewczynka nazywała się Ola – powiedział ojciec. – Tak do niej mówiliśmy w szpitalu.

„Aleksandra” oznacza obrończynię i pomocniczkę mężów, ale ojciec o tym nie wiedział, bo tam, gdzie pracował, czyli w Marynarce Wojennej, podobnych rzeczy nie uczyli.

– Wykluczone – odparła babka. – Powinna mieć na imię Anna!

Anna oznacza „łaska”.

– To łaska boska, że dziecko przetrwało i czuje się dobrze – tłumaczyła. Ojcu się to nie zgadzało.

– Nie mieszajmy Boga do takich spraw – oznajmił. – Mnie się podoba Ola i mojej żonie też. Niech się mama nie wtrąca.

Żona nie lubiła jednak imienia Ola, wolałaby nazwać córkę tak, jak nazywały swoje dzieci koleżanki. Wioletta, Patrycja albo Paulina brzmiało wtedy lepiej, bardziej światowo. Ale moja matka w tamtym dokładnie momencie poczuła się zupełnie bezwolna. Przestało jej zależeć na czymkolwiek. Ogarnął ją smutek i ogromna, niemieszcząca się w żadnej przestrzeni – tęsknota.

– Nazwijcie ją, jak chcecie – powiedziała zebrany. I zamknęła się w pokoju, by przez kilkadziesiąt następnych dni oglądać sopocki hipodrom, którego widok wypełniał i koił jej duszę.

Tak więc ostateczna walka o moją tożsamość rozegrała się między babką i ojcem. Rano to on poszedł do urzędu i kazał wpisać do dokumentów słowo „Aleksandra”. I była to jego pierwsza i jedyna decyzja dotycząca mego życia. Później babka wzięła na mężczyznach odwet i nie pozwoliła mieszać się w sprawy, których nie rozumieją. Na znak zemsty zrobiła gorzkie kotlety mielone, po których ojciec całą noc wymiotował.

Nie wzięła pod uwagę tego, że choć jest bardzo światła, sama jeszcze nie rozumie wszystkiego.

Osobą, której ewidentnie nie umiała pojąć, był na pewno dziadek. Kiedy matka zamknięta w pokoju patrzyła na ostatnie spóźnione zawody konne, ojciec zagniewany rejestrował mnie w spisie narodzonych Polaków, a babka w kuchni knuła, jak skomplikować życiorys zięcia – dziadek przypomniał sobie o mnie. Po cichu załatwił mleko dla niemowląt i nakarmił.

Wtedy wszystko mi się pomieszało. Na jakiś czas uznałam, że to on jest moją matką. W tej samej chwili dziadek pomyślał, że w tak skomplikowanej sytuacji rodzinnej on b ę d z i e moją matką. Dlatego później na różne sposoby stale mnie dokarmił i gromadził dla wnuczki zapasy pożywienia.

Nazywam się więc Ola, do dziś na brzuchu mam piękną tłustą fałdę, pamiątkę po jego miłości.

## Chapter 2

### Zima

Cienka pępowina, połączenie ciała z lodowcem, nie może być w moim przypadku zerwana. Tak jak ja wchłaniam powietrze, by utrzymać mój organizm przy życiu, tak na Północy lodowiec oddycha dla Ziemi. Te dwie rzeczy uzupełniają się wzajemnie. On jest dla świata, ja jestem lodowcem dla siebie.

Wieczny śnieg ma tylko jedno płuco: doskonale białe. Do tego organu idą miliony nici, równie niewidocznych dla ludzkiego oka, co spokojny oddech lodu. Pod skorupą zamrożonej wody mieści się przezroczyste serce. Wielki lodowiec bije, wpuszcza i wypuszcza wiatr nieustannie. Lekkimi drganiem nasycą krwioobieg Ziemi wolnym, ale nieustannym tętnem.

Gdyby mi Julek tego nie powiedział, nie zniosłabym swojej pierwszej zimy. Co prawda dziadek dzień w dzień przynosił mi pokarm i miałam nawet własne imię, ale przy minusowych temperaturach na zewnątrz źle znosiłam chłodną atmosferę w mieszkaniu. Padający przez trzy dni bez przerwy śnieg zasłonił matce widok na hipodrom. I chcąc nie chcąc – musiała zwrócić uwagę do swojego środka.

A w domu trwała wojna babki z ojcem. Tata schudł od zjadliwych potraw teściowej i zaczął stołować się w mieście. Wracał z Gdyni późnym wieczorem, wyczerpany podróżą w zimnej Szybkiej Kolei Miejskiej, która tego roku miała wyjątkowo dużo przestojów.

Matka pozostawała obojętna na jego nieobecność. Siedziała tylko w kuchni przy stole i obserwowała, co babka dodaje do jedzenia. A babka do wszystkiego sypała pieprz i ostrą paprykę. Wyjmowała też z półki w kredensie przyprawę uniwersalną, umieszczoną w słoiczku z napisem Głód Ukraiński. Ciemnoczerwona, prawie brązowa barwa specjału gryzła się z pastelami kuchni. Przypominała przeszłość. Nigdy nie sprawdziłam, co tak naprawdę mieści się w słoiku, choć w dzieciństwie

wiele razy buszowałam w tym celu po szafkach. Przyprawa nie dawała się odkręcić rękami dziewczynki. A kiedy babka zmarła, nie odnalazłam już Głodu na żadnej z kuchennych półek.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Na kamiennym osiedlu Żabianka, gdzie między blokami ganiał wiatr od morza, znów nie posypano chodników piaskiem. Dziadek szedł do sklepu i poślizgnął się przed naszą klatką. Obił sobie biodro i rozplakał się. Łzy nie popłynęły z bólu. Płakał, ponieważ uświadomił sobie, że jeśli on mnie nie nakarmi, to w rodzinie nie będzie miał kto tego zrobić.

Na trzecim piętrze mieszkali sąsiedzi z młodą suką rasy seter. Cierpiący dziadek zapukał do nich i poprosił, by zajęli się wnuczką. Pod pretekstem pożyczania cukru sąsiadka cicho wykradła mnie z mieszkania obok.

A na dworze zaczynała się właśnie kolejna zadymka.

Miałam już szczerze dość ignorowania. Mimo bardzo młodego wieku widziałam każdy ruch mebli po domowej podłodze i sama się czułam mniej więcej tak, jak gazetnik przestawiany z miejsca na miejsce. Na Żabiance był taki sprzęt domowy – ojciec wkładał tam „Trybunę Ludu” i „Dziennik Bałtycki”, matka z babką zaś „Przekrój” i magazyny dla pań. W gazetniku stałe toczyła się walka między tym, co męskie, a tym, co żeńskie. Raz wysypywały się z niego relacje ze zjazdu partii oraz informacje o wizytach notabli, kiedy indziej – sposoby na usunięcie plam z odzieży i przedruki z pokazów mody za granicą. Ponieważ nikt nie kontrolował wysypu słów, zwłaszcza w „Kobiecie i życiu” nie znali umiaru i drukowali wszystko – cały dywan w dużym pokoju pokrywały często bez ładu pomieszane litery. Matka stawiała nad nimi sztywno i próbowała cokolwiek odczytać:

– Boz wgrity my – mówiła do babki. – Angle krypy tamtruf!

Babka patrzyła wtedy na matkę współczująco, zbierała cały papier z podłogi i wyrzucała przez balkon. Litery wyfruwały daleko w mroźne powietrze, zataczały ogromne kręgi nad zbudowanym pod blokiem przedszkolem, po czym ginęły z oczu. Babka zamykała drzwi, bo w pokoju błyskawicznie się wychładzało, prowadziła córkę do kuchni i robiła jej herbatę z melisy. I zaraz wracała pod okno, by przestawić gazetnik za firanę i w ten sposób choć na chwilę uczynić go niewidzialnym. Tak więc dziadek znów uratował mi życie.

Sąsiadka nazywała się Helena, miała brzuchatego męża Henryka i dwójkę dzieci. Pasją Heleny było robienie przetworów. Latem godzinami przesiadywała na swojej działce pełnej ogórków i pomidorów, czereśni, gruszek i jabłek. Kiedy owoce lub warzywa dojrzewały,

zabierała je do domu, by umyć, czasem obrać ze skórek i zamarynować, zapeklować, zalać wódką. Przy stole nakrytym ceratą w kwiaty pomagała jej cała rodzina.

W mieszkaniu sąsiadów stale siedzieli bowiem jacyś kuzyni, wujkowie czy stryjeczne siostry, stale ktoś odwiedzał Helene, bo przecież żyła nad morzem, które w tamtych czasach było narodowym bogactwem. A jeśli przyjeżdżali – to z dowodami wdzięczności, na które składały się kolejne słoiki i butelki z zawartością.

W pokojach więc, zamiast książek albo kryształów, stały tłuste rzędy szkła z dobrami słowiańskiej ziemi – z dżemami truskawkowymi z Tarnobrzega, kompotem rabarbarowym z Koła czy marynowaną dynią z podkrakowskiej wsi, której nazwy dziś już, niestety, nie pamiętam.

Ułożono mnie w tej obfitości na pstrokatym kocu z resztek włóczki, zrobionym własnoręcznie przez gospodynię. Helena posiadała wszystkie domowe talenty, szyła więc także, haftowała i robiła na drutach.

Ułożono mnie i w jednej chwili nad zmarzniętym niemowlakiem stanęło kilka twarzy rozpromienionych moim widokiem. Patrzyłam uważnie na sąsiadów, nie wiedziałam przecież, kim są ci kolejni uśmiechnięci ludzie, podobała mi się wokół tylko wielość kolorów, gdyż właśnie zaczynałam rozróżniać poszczególne barwy świata.

– To dziecko jest duże, ale bardzo blade! – oznajmiła chrypiącym głosem Helena.

– I jakieś trochę ospałe – dodała jej wyższa o trzy tony siostra. – Dzieci się raczej chętnie ruszają, a ta dziewczynka tylko oczami wodzi. Panie Adamie – zwrócili się do dziadka, który siedział w kącie z ziołowym okładem na obitym biodrze i popalał papierosa, choć babka kategorycznie mu tego zakazała. – Panie Adamie, ma pan rację, tu trzeba koniecznie interweniować.

Dziadek zostawił więc dziecko w tym nawet zimą pachnącym przyrodą domu, gdzie wdychając zapachy przetworów odżyłam, nabrałam smaku i gracji ruchów. Sąsiadka nastawiła mnie jak wiśniówkę. Tak przygotowana mogłam spokojnie wrócić do własnej rodziny na święta, a siniaki dziadka się zagoiły i znów był w stanie wykarmić wnuczkę.

Ludzie przeżywają wiele istotnych rzeczy. Przeżyć głód, to zostawić w pamięci rozsypane górskie kamienie. Na każdej ścieżce, przy każdym ruchu będziesz się potykać o tajemnicę szarą jak one. Głód jest jednak w środku pusty. Zamienić poszarpane granitowe płyty w bochenki chleba, w utoczone z pieszczotą spożywcze elipsy na ziarnie miękkim i

błogosławionym – to zadanie dla magów. Nie zawsze od razu stajesz się Bogiem. Niektórzy wcześniej umierają.

W sobotni wigilijny ranek babka pakowała prezenty. Na dworze padał śnieg. Najpierw leniwie, powoli, pokazując kształty każdego ze swych płatków, później rozpedził się jak atakująca konnica. Babka lubiła porównania do armii. Dziadek też był kiedyś oficerem. W chwili, w której śnieg wsypał się do kuchni przez lufcik, spojrzała na ilość stojących przed nią paczek i poczuła dziwną dysharmonię. Przeliczyła dokładnie pakunki, odwróciła się do siedzącej, jak co dzień, przy kuchennym stole matki, upuściła nożyce do cięcia papieru, które zamiast zadzwonić, miękko spadły na wykładzinę PCV i sprawdziła, czy jestem: – Ola!?

Matka westchnęła i odpowiedziała:

– Gub stiram pumpur.

Babka nie dała za wygraną.

– No mów, gdzie? – wrzasnęła na córkę wystarczająco głośno, by zatrzasnąć ośnieżone już okno, na co zrezygnowana matka odpowiedziała po ludzku, że w małym pokoju.

Babka pobiegła tam czym prędzej i znalazła mnie tuż obok swego męża, który spokojnie układał pasjansa. Leżeliśmy oboje na tapczanie, pośród pustych opakowań po mleku Bebiko i zużytych pieluch z tetry, ułożonych przy regale w egipską piramidę. Babkę ogarnął wstyd i gniew, ale nie dała nic po sobie poznać. Zebrała śmieci i wysłała z nimi ojca do śmietnika przy bloku. Błyskawicznie przewietrzyła i wypucowała pokój, urządziła kąpiel i mnie, i dziadkowi, upiekła dodatkowe ciasto, posmarowała ręce kremem, a kiedy nastał wieczór, położyła nowe dziecko pod choinką jak najważniejszy rodzinny prezent.

# Chapter 3

## Wzrost

Święta minęły spokojnie, na jakiś czas wszyscy zachowali równowagę. Matka dała babce w prezencie pomarańczę.

Pomarańcza symbolizuje ciepło, doskonałą formę i mnogość pozytywnej energii. W pomarańczowej kuli istnieje życie, które po przekrojeniu wypływa sokiem i parzy w ręce, jeśli krojący wcześniej się zaciął nożem. Ojciec dał matce mydełko z Pewexu.

Dziadek dał mi zabawkę, pluszowego pieska. Julek poprosił, żeby ją nazwać, więc dałam jej imię Monia, które jest zdrobnieniem od Monika. Monika oznacza „samotna, jedyna”.

Ja dałam wszystkim wrzask o piątej nad ranem, wydało mi się bowiem, że Julek zniknął. A on tylko na chwilę wrócił do nieba, złożyć życzenia Jezusowi.

Ponieważ dalej karmił mnie dziadek, w Sylwestra tata mógł zabrać mamę do kantyny wojskowej. Matka spodobała mi się bardzo tego wieczoru przed wyjściem, mimo kilogramów, które wciąż opływały jej sylwetkę po ciąży. Natapirowała włosy i zrobiła makijaż. Założyła przetykaną srebrem spódnicę i zielony top. Spódnica sięgała do samej ziemi. Przed świętami z szafy w przedpokoju babka wyjęła maszynę do szycia i z kupionego okazjnie dwa lata wcześniej materiału wykroiła części na obecne ciało matki. I połączyła je dokładnie jednym ze swoich tajemnych szwów.

– Azonkli germundro – podziękowała matka, gdy znalazła spódnicę pod choinką. Ostatniego dnia roku narzuciła podane przez ojca palto i zeszli razem cztery piętra w dół, gdyż pod domem czekał już samochód z wojskowym kierowcą.

Babka szyła rzadko, na wyjątkowe okazje. Nie tworzyła nowych ubrań w tempie przemysłowym, jak czyniła to Helena z mieszkania niżej. U nas nie istniały przyplwy i odpływy licznej rodziny. W rzeczach babki

wyglądało się jednak wyjątkowo. I pięknie także się czuło. I zyskiwało świadomość, iż tak się wygląda.

Tego Sylwestra matka miała więc niezwykle powodzenie w tańcu. Mimo nadwagi i niezrozumiałych dla nikogo wypowiedzi, koledzy ojca oszałeli dla niej, co w końcu wywołało krótką sprzeczkę między rodzicami. Krótką, bo matka nie przestawała mówić we własnym języku, a ojciec, nie pojmując jej ani w ząb, oddał się przyspieszonej konsumpcji alkoholu. Skończyło się to dla niego chwilą orzeźwienia na śniegu, po diecie babki miał bowiem wciąż bardzo czuły żołądek.

Tymczasem w domu dziadek otworzył szampana.

A kiedy błyszczący telewizor oznajmił dwunastą, bąbelki trafiły do dwóch kieliszków. Babka ruszyła do kuchni, żeby przynieść sałatkę warzywną. Jedzenie sałatki miało zapobiegać uderzeniom mocnych trunków do głowy. Wtedy dziadek odmierzył łyżkę musującej cieczy i dolał mi do butelki z mlekiem.

Babka też miała swój plan: ułała na podłogę nieco ze swego kieliszka. Po pierwsze dla katolickiego Boga. Po drugie dla innych domowych cichych bogów. Po trzecie dla przewodniczącego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zawsze myślała dyplomatycznie, co pozwoliło jej przetrwać już tyle trudnych sytuacji, że stosowała się do swoich zasad z pełnym zaufaniem. Szybko wróciła z miską i talerzami. Ja zaś wtedy, już pod wpływem sylwestrowego napoju, śmiałam się serdecznie, coraz mocniej i coraz głośniej. I trwało to tak aż do samego rana.

Zima, jak wszystkie zimy w Gdańsku, mijała powoli. Matka wróciła do swojego punktu obserwacji przy oknie. Zasypany śniegiem hipodrom napełniał ją spokojem, choć tylko pozornie nic się tam nie działo. Na drzewach wokół płotu figlowały wróble i gile, odstraszone czasem przez gęste wizytacje gawronów. Siwki i kasztany wyprowadzane na powietrze przez osowiałych pracowników znaczyły ślady przechadzki parującymi kupami. Niekiedy powiał wiatr i układał na śpiącym polu kopczyki w kształcie liter alfabetu. Matkę bawiło odczytywanie śnieżnych słów, bo układały się

w hasła zupełnie pozbawione sensu, na przykład: „Nie dla zielonych żrebaków morskich!” albo „Żuj więcej kokosów – będziesz matką nerwali!”. Babka cieszyła się jednak z nowego hobby córki, gdyż oddanie się tej pasji oznaczało, że już niedługo znów będzie budować normalne zdania.

Obowiązki rodzicielskie dalej spełniał dziadek. Układał mnie w żółtym, jakże niepasującym kolorystycznie do zimowej stylistyki, wózku. Wychodziliśmy na długie spacerzy. Babka pakowała mu kanapki i termos z

kawą, w drugim termosie zostawiała ciepłe mleko dla wnuczki. Dokładała do tego smoczek, który wystarczyło zamontować na górze pojemnika, by zrobiła się z niego butelka dla dziecka. Okutaną w ciepłe ciuszki i dwie dodatkowe kołderki znosił mnie dziadek razem z wózkiem na parter. A kiedy znajdowaliśmy się już na poziomie ziemi, natychmiast zaczynał iść.

Z bloków na Żabiance wszędzie było blisko. Chodziliśmy nad morze, przez martwe o tej porze roku działki. Jeździliśmy do Parku Oliwskiego, do katedry, gdzie w prawej nawie bocznej dziadek wyjmował termos i zręcznym ruchem zamieniał go w butelkę z mlekiem. Do Sopotu na molo, bo tam najwięcej wiało i najbardziej się chichrałam. Patrzyłam, jak Julek broni się przed wciągnięciem w wir powietrzny, który chce go wessać chyba do samego nieba.

Na spacerach dziadek mógł spokojnie palić. Wyjmował z wózka podkładkę pod pupę i zakamuflowaną przed babcią paczkę sportów. Siadał na murku przy bulwarze w Jelitkowie i jedną dłonią kołysząc wnuczkę, a drugą mistrzowsko trzymając cigareta, zaciągał się do samych płuc. Usypiałam spokojnie zanurzona w zapach nikotyny. Stąd się zresztą wzięło późniejsze moje zamiłowanie do ciasnych pomieszczeń i knajpianych wewnątrz oznaczonych dymem.

Po każdej takiej przechadzce rosłam. Pół centymetra, centymetr. A że wychodziliśmy często, szybko przybywało mi ciała. Zima przeszła we wczesną wiosnę, świeża zieleń wiosny zamieniła się w ciemne liście lata, potem drzewa stały się czerwonosuche, a później znów zupełnie puste. Ptaki przylatywały i odlatywały. Matka uważnie śledziła ich migracje nad hipodromem i nauczyła się odczytywać hasła również z tych powietrznych ewolucji. Wkrótce umiałam już jeść coś więcej niż tylko bebiko, zaczęłam także stawiać kroki na deptaku w środku dzielnicy. Wózek trzeba było więc zmienić.

W tym czasie zaczęłam dostrzegać też, jak bardzo świat się zmienia wraz z porami dnia i właścicielami kolorów. Wtaczałam się niezdarnie na coraz to nowe barwy, a dziadek z Julkiem podpowiadali mi, jak je określić.

– To jest gołąb – mówił dziadek. – Ciemnoszary, jasnoszary, brudnozielonoszary – podpowiadał cicho Julek.

– To jest niebo, to morze, to kwiatek – nazywał człowieka. – Jasnoniebieski, naftowy, chaber – kończył anioł.

Zwłaszcza kolory morza trudno mi było opanować. Na każdej wycieczce na plażę woda miała inny odcień. Zapisywałam jednak wszystkie ujrzone widoki w dziecięcej główce, wierząc, że kiedyś uda mi się każdy z

nich ogarnąć i odtworzyć. Kolekcjonowałam barwy muszli, patyków i zagubionych mewich piór, przyglądałam się oddzielnie każdej cegle pobliskiej katedry, łapałam wzory mozaik na rabatach kwiatowych przed domem. Nawet zima była biała na różne sposoby. Wydawało mi się to bardzo niezwykle, w liceum przeżyłam więc szok, że ktoś odkrył ów cud przede mną.

W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, w porze dnia i roku, którą nazwałam ciemnorudo-granatową, do drzwi mieszkania przy ulicy Rybackiej zastukał młody żołnierz. Ojciec przebrał się w mundur i wyszedł z nim w pośpiechu, nic nie mówiąc.

## Rysunki

Z zachwytem spostrzegłam, że mój dom składa się teraz z samych kobiet. Jako kobiety policzyłam oczywiście karmiącego dziadka i – z rozpędu – Julka. Julek stanowczo wyjaśnił mi jednak, że według powszechnie uznawanej tradycji, anioły nie posiadają płci. Przynośzenie go do którejkolwiek z nich jest zatem ogromnym nietaktem i nonsensem. Nie chciałam wkurzać Julka, toteż zgodziłam się w tej kwestii ustąpić, ale przez kilka następnych tygodni uporczywie podpatrywałam go, gdy chodził do toalety.

Z tamtych ustaleń nic nie wynikło, dałam więc spokój, zwłaszcza że moją uwagę przykuło stworzenie będące antytezą anielskiego przyjaciela, a które pojawiło się u sąsiadów piętro niżej. I przychodziło do nas często wraz ze sponieważoną Heleną.

Był to pies. Cały czarny, dość młody i zupełnie nierasowy. Przyplątał się sąsiadom wiosną, gdy na działce ułożyli ognisko z połamanymi badyli. Już podpalali ogień pod gałęziami z zimy, już żegnali się rytualnie z ciemnymi miesiącami, kiedy z kupki liści coś zawyło i wydostało się niezgrabnie ku słońcu. Zdumiona Helena zaniemówiła, a zaraz potem zakrztusiła się dymem, brzuchaty Henryk wykazał jednak przytomność umysłu i zdążył złapać brudnego szczeniaka. Zresztą kundel nie miał zamiaru uciekać, pragnął jedynie umknąć wyrokowi inkwizycji. Helena i małżonek z radością przygarnęli szczenię, zwłaszcza że oboje tydzień wcześniej przeżyli śmierć starej seterki, a młode zwierzę uznali za udaną jej inkarnację. Na pamiątkę tego wydarzenia i w związku z dość specyficznym wyglądem pies otrzymał imię Boruta. Nie dziwi więc, że Julek serdecznie go później nie znosił.

Pies oznacza mądrość, wierność, radość i przyjaźń. Pies jest stróżem, myśliwym i pasterzem. Pies jest przy człowieku od dawna.

Ale ma także swoją mroczną symbolikę, bo przeprowadza zmarłych przez granatowe strumyki śmierci. Po drugiej stronie mieszka pełno

psów, które poprowadziły swoich właścicieli – z ziemi do miejsc poza mierzonymi godzinami czasem. I które nie miały jak wrócić, więc błąkają się o zmroku pod domami ludzi i patrząc w światła, niewidzialnie nadal się łaszą do stóp.

Pojawienie się psa oznaczało dla nas i początek, i koniec.

Boruta często uciekał sąsiadom i wpadał do mieszkania dziadków z iście diabelską figlarnością. Rzucił się na dywan w przedpokoju, zwijał go i przewracał stojące tam buty, wplątywał w kabel telefonu i ku wściekłości babki zostawiał wszędzie kłaki sierści. Machał przy tym swoim czarnym ogonem, całkowicie zadowolony z tańca, który wykonał. Potem kładł się do góry brzuchem i czekał, aż dziadek go posmyra. W dziadku budziła się wtedy cała energia Ukrainy i smyrał Borutę wśród pisków radości, udawanych kaśnieć i na niby warczeń. Na tę poważną walkę wpadał zazwyczaj zasapany Henryk i posyłał psu kilka ostrzeżeń. Boruta wstawał, ale nie przestawał machać ogonem, czasem nawet przyjaźnie szczeknął na obu mężczyzn. A ja stałam w przedpokoju z rozdziawionymi ustami i w głowie mi się zaczynało kręcić od takiej ilości pierwiastka męskiego, zgromadzonej naraz w jednym miejscu.

Były to bowiem momenty, w których kobiecość dziadka ulegała dla mnie zachwianiu i przestawałam rozumieć porządek rzeczy w naszej rodzinie.

Całe szczęście za Borutą i swoim mężem do mieszkania docierała też Helena. Więc spokojnie, we czwórkę, razem z babką, a bez matki, która nadal tkwiła zapatrzona w konie na łąży, siadali w kuchni i popijali herbatę. Babka wyjmowała reprezentacyjny zestaw szklanek, takich z metalową ruchomą obudową, nastawiała wodę w czajniku, sypała brązowy granulat i zalewała go wrzątkiem. Na powierzchni płynu robił się biały osad, ale nikomu to nie przeszkadzało, bo herbatę tylko tej jakości w ogóle można było kupić.

W takiej chwili ja stawałam oko w oko z wcieleniem Lucyfera na ziemi. Boruta chwilę łasił się do nóg domowników, a potem uciekał mnie straszyc zza firanki

w pokoju. Zależnie od nastroju na przemian kamieniałam, zamieniałam się w cichy słup soli lub w drzewo kołyszące gałęziami. Palce dłoni stawały się gałęziami, kiedy w strachu nimi poruszałam. Aż pewnego dnia, pełnego światła z balkonu i świergoczących wróbli, pacnęłam psa w głowę tak mocno, że aż z zaskoczenia usiadł. Od tego momentu pokochaliśmy się z siłą owego uderzenia i nasze zabawy cechowała większa ilość ruchu.

Gdzieś także wtedy właśnie zachorowała babka.

Z rąk zaczęły jej wypadać sztuce, talerze i inne naczynia kuchenne. Niedokładnie zbierała kurz ze sterylnych dotąd powierzchni regału. Szminka z kącików ust uciekała jej najpierw delikatnie, potem coraz ostrzej, poza wyznaczone rejony. Drżały nawet potrawy, jakie przygotowywała na niedzielny obiad.

Wkrótce choroba babki rozedrgała mieszkanie przy ulicy Rybackiej do tego stopnia, że obraz hipodromu w oknie stał się bardzo niewyraźny. Tak rozmazany, jakbyśmy mieszkali w towarzystwie czynnego wulkanu albo w obszarze stałych ruchów sejsmicznych.

Matka zniechęcona ruchomym krajobrazem wróciła po raz drugi. Wrócił też ojciec, ale nic nie mówił. Był to czas, kiedy w sklepach nie można już było kupić mięsa, więc stołował się w wojskowej kantynie. Po południu czytał. Gazetnik napęczniał w tym okresie wyjątkowo, ponieważ babka wyrzucała pisma nie tak daleko, jak niegdyś. Drżenie rąk pozwalało jej trafiać najdalej w okolice parapetu. Wczołgiwałam się niekiedy pod stertę makulatury i czekałam, aż ojciec mnie tam znajdzie. Po jakimś czasie przychodził z kolacją dziadek i budził mnie odwijając z kolejnych stron papieru, umazaną farbą drukarską, z odcisniętymi na buzi tytułami artykułów.

Wieczorne posiłki składały się z filiżanki z kogutkiem, łyżeczki i jajecznicy. W lecie babka dodawała do niej drobno pokrojonego pomidora. Jeśli zjadłam wszystko, na dnie filiżanki pojawiał się obrazek – zadziorna kurka z rozdziawionym dziobem. Zawsze zjadałam wszystko i to nie z powodu tej dziecięcej sztuki użytkowej, po prostu coś mi podpowiadało, że należy gromadzić zapasy tak wyrażanej przez jedzenie miłości.

Gdzieś pomiędzy jajecnicą bez pomidorów i jajecnicą z ich dodatkiem matka poszła do pracy. Zajęła się składaniem ważnych liter w sekretariacie szefów ojca, a język tych pism tak był podobny do używanego przez nią samą, że została przyjęta z otwartymi ramionami. Wkrótce opuściliśmy dom dziadków, bo ojciec dostał mieszkanie w nowym bloku, zbudowanym dwie dzielnice dalej. A ja poszłam do przedszkola w Gdyni, gdzie dowiedziałam się, że istnieją inne dzieci marynarzy. Jednak zanim to wszystko ostatecznie się stało, pierwszy raz namalowałam swoje zdanie na ten temat.

Rysunek pierwszy uwieczniał Borutę (szesnaście drapieżnych czarnych kresek z żółtą plamą w środku).

Drugi przedstawiał gazety ojca (te same ciemne kreski, tylko porozrzucane po całej kartce).

Na trzecim narysowałam mamę wraz z babką, siedzące przy roztrzęsionym oknie (niebieskie i czerwone linie układały się w nieskończone sfalowane spirale, w prawym górnym rogu świeciło równie drżące słońce w kolorze pomarańczy – zapewne uchwyciłam jego zachód nad morzem). Czwarty obrazek pokazywał moment, w którym dziadek przynosi mi kogutka (trzy różnobarwne plamy na samym środku, złączone ze sobą w malarskiej komitywie). Ta kartka zachowała się zresztą do dzisiaj, nadgryziona jednak znacznie przez zęby moje, a może paszczę Boruty. Na piątym rysunku znalazła się tylko jedna blada kropka. To był mój nowy dom i życie w przedszkolu.



**[www.feedbooks.com](http://www.feedbooks.com)**  
Food for the mind